

Poeci KPP: WITOLD WANDURSKI

Agitator

W cąkowej marynarce, tuląc w palcach kołnierza
Biegnie truchtem po jezdni armii pracy żołnierza.
Pięta: wiec metalowców. Szósta — u włóknarzy.
Wieg truchcikami, truchcikiem. Nagli mroz —
towarzysz.
Zima, praczka gorliwa, namydliła śniegu
Balie placów w burzynach od mydła taniego.
Jak pralnie mroźną parą nasiąkła ulica.
Słońce, stara żarówka, mdło we mgłę prześwieca.
Sala zebrań. Termometr kucał niżej zera.
„Towarzysze! Tu zimno jak jasna cholera!”
Na miasto! Na rozgrzewkę! Zapalić ognisko!
Taszczyć z stare papierzyska!
I znów dalej. O siódmej wiec u kolejarzy.
Biegnie truchtem. Na głodno o dniu wielkim marzy.
Po dziesiątej — do domu. Zadymka. Zawieja.
Miasto — knieja odludna. Śnieg za kołnierza wieje.
Pali keiuk odmrożony w rozdziawionym bucie.
Ale tli się nadzieja — rozżarzony drucik.
1924 r.

Lato 1923

Dozorca piątej kategorii — 18 000 marek tygodniowo.
Bochenek chleba — 9000.

Lipy w ogródku fabrycznym pachną miodowo.
Coraz gorzej.
Ludzie bez kapot stoją spoceni u bram
wsluchani w bulgot żółto-zielonych rynsztoków.
Szkłane źrenice toczą po martwych kominów lesie,
po złomach brunatnych bloków.
Tam
u wylotu ulicy
zeszły się starki-rajfurki
dwie kamienice
i szepcą:
Dzień się strudzony powiesił!
Na szyi nieba.
Koloru mętnej cykorii
czerwieni
cieniutka bruzda wisielca.
Lipy w ogródku fabrycznym pachną miodowo.
... Gdzieś w Kielcach
urzędnik ósmej kategorii,
rzeski i zdrowy,
kroczy za miasto
na ryby.
A w Łodzi
ludzie bez kapot stoją spoceni u bram,
starzy i młodzi,
wsluchani w bulgot żółtych, cuchnących rynsztoków.

Ach, gdyby
można się było wykapać!
Wykapać w rzece!
Nic więcej.
Lipy wciśnięte w szczeliny brunatnych bloków
pachną miodowo
coraz gorzej...
Bochenek chleba — 9000.
Dozorca piątej kategorii — 18 000 marek tygodniowo.

Sześćdziesiąt sześć

(Fragment)

Na stole płachta gazety:
Re—wo—lu—cja—rząd—Stre—se—man—na.
To w roku dwudziestym trzecim.
Lecz w osiemnastym — to samo:
Rewolucja.
Rząd Scheidemanna.
Humor stulecia!

Czytajmy dalej!
Sowiety.
Stypendium dla syna Szczedryna.
Poza tym: Nep! — Nep!! — Nep!!!
W Polsce da capo:
Gdańsk.
Jaworzyna.
Margaryna i sacharyna.

Psie mięso.
Dolary.
I czerstwy chleb.
Może w Anglii inaczej?
W Londynie zwołują na nowo
Konferencję światową.
To znaczy:
Ropa.

Zrozumiałem.
Babcia Europa
Nad mapą świata rozdarta
z Jehową gra w karty.
Wieszcz mowi:
Imię jego jest czterdzieści cztery.

Mgła.
Romantyczna treść.
Na co to?
Patos nieszczerzy.
Może właśnie —
Sześćdziesiąt sześć.
1923 r.

NOWY ŚWIAT

TYGODNIOWY DODATEK „GŁOSU”

Rok VII numer 16

Niedziela, 22 IV 1956

Dr K. Kapitańczyk

W pięćdziesiąt rocznicę
śmierci PIOTRA CURIE

Jak długo się oddycha — dalej pracować

„Wszyscy, którzy znali Piotra Curie — mówił na posiedzeniu żałobnym Akademii Nauk, Henri Poincaré — wiedzą, jak uprzejmy był w obęjsiu i jak był słowny. Szczególnie pociągającą była jego niewyczerpana skromność. Ktożby myślał, że poza tak wielką łagodnością, kryje się nieugięta wola? Jeśli chodzi o szlachetne zasady, w których był wychowany, o ideał moralny, który nauczone był kochać, był nieublagany, jakkolwiek ten jego ideał bezwarunkowej szczerości jest dla świata, w którym my żyjemy, o wiele za wysoki. Nie znał tych tygielnych małych ustępstw, przy pomocy których nasza słabość się wykpiwa — ani w życiu, ani też w nauce. Tu i tam jego świetlany przykład uczył, jak wysokie określenie obowiązku wyrósł może z pokornego i czystego umiłowania prawdy. Nie chodzi o to, w jakiego Boga się wierzy — wiara czyni cuda.”

Urodził się 15 maja 1859 roku w Paryżu przy ulicy Cuvier. Był młodszym synem lekarza, dr. Eugeniusza Curie, był i wnukiem lekarskim. Rodzina Curie pochodziła z Alzacji i była protestancka. Początkowo był to stateczny, szanujący się ród mieszczań-

ski, wcześniej jednak młode pokolenie interesować zaczęły się coraz bardziej sprawy intelektualnymi i naukowymi. Ojciec Piotra i Jakuba uprawiał wprawdzie praktykę lekarską, ale czynił to raczej ze względów bytowych, w istocie był to bowiem umysł zdecydowanie badawczy. Był prorektorem instytutu anatomicznego i opublikował szereg prac na temat szczepienia przeciwgruźliczego.

Dziewiętnastoletni asystent

Instynkt badawczy i uzdolnienia naukowe ujawniły się wcześniej u obu synów doktora Curie — Jakuba i Piotra. Wprawdzie Piotr nie umiał czy nie mógł pomieścić się w uporządkowanych ramach szkolnej dyscypliny i przypominał nauki dawkiwanej we dług przepisów programu gimnazjalnego. Był bardzo samodzielny i przy tym marzycielski, nigdy też nie uczęszczał do zwykłej, normalnej szkoły. Miał bardzo mądrego życiowo ojca, który zrozumiał, że syn jego — mimo niezwykłych zdolności — nigdy nie byłby dobrym uczniem. Toteż początkowo kształcił go sam, a następnie powierzył go kierownictwu znakomitego pedagoga Bazille. Przewidywania dr. Curie dały wyniki: w 16 roku życia Piotr zdał egzamin dojrzałości, w 18 uzyskał licencjat. Mając lat 19, był już asystentem prof. Desains na wydziale przyrodniczym, pozostając na tym stanowisku przez pięć lat. Brat jego Jakub był również asystentem na Sorbonie; razem też wkrótce stali się odkrywcami „piezoelektryczności”.

Nie będziemy tu wchodzić w szczegóły tego odkrycia, pozostawiając to innej okazji. Powinniśmy tylko, że chodzi o ciekawe zjawisko polaryzacji (ujawniania się ładunków elektrycznych na granicznych płaszczyznach kryształów — powstawanie biegunów) pod wpływem ciśnienia przyłożonego do nich. Cechy takie wykazuje między innymi kwarc czyli kryształ górski. Powiązane jest to z budową kryształów, która cechuje uporządkowane w przestrzeni rozlokowanie jego cegiełek budowy (atomów, zespolów atomowych, jonów) według określonych ścieżek przestrzennych (kryształy). Obserwacje braci Curie zupełnie przeczono zrazu, z czasem nawet zapomniano. Po latach jednak zjawisko piezoelektryczności stało się punktem wyjścia dla nowych badań. Zauważono, iż może być odwrócone, kryształ poddany działaniu określonego prądu zmienia ulega odpowiedniemu kurczeniu i wydłużaniu, druga więc z częstotliwością odpowiadającą częstotliwości zmiany frekwencji prądu. Drgania te można wykorzystać w najrozmaitszy sposób, do mierzenia czasu, do wywołania ultradźwięków... Dziedzina ultradźwięków to wspaniała dziedzina nauki i techniki, o rozległym za-

brze, ale chyba bardziej kochamy te, w których wypadło przeżywać nam trudności. Widziałem płonące miasto; jego mury były dla nas barykadami, domy kształtem okopów, brnąłem wysokim wąwozem gruzów — była to centralna ulica Nowy Świat, którą tak świetnie znałem z okresu dzieciństwa i lat szkolnych. Codziennie przebiegałem nią, spiesząc do szkoły. W ciągu mojego niezbyt długiego życia widziałem potrojnym obrazem tej dzielnicy. Czyż to nie powinno stać się natchnieniem twórczym?

— Najbardziej jednak znaną z Pańskich książek jest powieść o tematyce wiejskiej „Lu dzie z rzeki”...

— Była ona wynikiem doświadczeń wojennych, kiedy miałem niewielkie gospodarstwo rolne, stanowiące podstawę utrzymania. Bliskie kontakty ze wsią, odnowione w okresie bezpośrednio powojennym, praca w pismach chłopskich i zainteresowanie problematyką wsi, wyjazdy reporterskie w teren, przyjaciele i znajomi po wsiach i gromadach — oto elementy, które pomogły i wsparły moją wiedzę o wsi dzisiejszej. Kontaktów tych nie zrywam, zbieram wciąż materiały, nie wątpię, że wykorzystam je jeszcze w formie opowiadań lub powieści.

— A w jaki sposób powstała Pańska sztuka?

(Ciąg dalszy na str. 3)

PRZED PRAPREMIERĄ W POZNANIU

— ROZMOWA Z AUTOREM

W związku ze zbliżającą się prapremierą sztuki Lesława Bartelskiego „Pierwsza miłość”, którą zobaczymy na scenie Teatru Polskiego w Poznaniu, zwróciliśmy się do Autora z prośbą o kilka chwil rozmowy.

legł w tej walce. Nie dbałem wtedy o to, że w płomieniach strzaskanego Warszawy spłonęły moje wiersze (część z nich odnalazłem) i fragmenty dramatu o obłożonym mieście (była to jeszcze jedna wersja o Wandzie, co nie chciała Niemca i wybrała śmierć aniżeli niewolę). Nie miałem siły, by wrócić do tematyki tego dramatu, zbyt wiele przeżyłem, aby móc to wyrazić. Wiersze moje z tego okresu, to gorzki rozrachunek z rzeczywistością, z samym sobą. Powtarzałem za Tacytem, tym pisarzem najstraszniejszych prawd: „Niewiele z nas ocalało i — żeby się tak wyrazić — przeżyło nie tylko innych, lecz nawet samych siebie”.

Długo więc wahałem się, czy opublikować w wydaniu książkowym moje utwory. Zdecydowałem się wówczas, kiedy — tak mi się przynajmniej zdawało — zżegnałem bezpowrotnie odchodzącą młodość.

W roku 1948 ukazał się (własnym nakładem) mój poemat „Przeciw zagładzie”, który powstał wiosną 1944 r., a w 1949 r. wydałem tom wierszy nakładem „Książki i Wiedzy”, zatytułowany „Patrol między murami”. Bardzo starannie przemilczany przez krytykę, który rozszedł się mimo tego. Była to tylko część moich wierszy, jak gdyby fragmenty tego, co przeżyłem w latach 1943—1948. Rok wydania mego tomu zbliżył się z okresem przełomu. Wtrącała do literatury nowa poezja — spychając albo też niszcząc całkowicie to liryczne odczuwanie, jakim przepełnione były moje wiersze. Rozumiem walkę, sam wyszedłem bowiem z lat, których ona była treścią, ale nie wiem, dlaczego właśnie poezja „walki” musi odznaczać się gwałtownym odgłosem bębnow i twardym, marszowym krokiem podkutych butów? Trafił pod murami Jerycha, które należało zdobyć, zagłuszyły nie mnie jednego. Zamilkłem wobec tego, choć wiem, że nurt liryczny nie wysechł we mnie całkowicie.

— Słyszeliśmy, że opracowuje Pan antologię literatury podziemnej?

— Tak, będzie ona nosiła tytuł „Z dna”, nie wiem jeszcze dokładnie, jaki obejmie zakres, przystąpiłem zaledwie do pracy nad nią. Będzie to w każdym razie pokazanie wspaniałego okresu w historii naszej literatury, pokazanie w jego sprzecznościach i walkach. Wstęp, jaki przygotowuję do antologii — ukaże trudną, lecz zarazem pełną chwały drogę polskiej literatury w latach 1939—1944. Antologia została objęta planem Wydawnictwa Literackiego w Krakowie.

Do okresu okupacji — jak mi się wydaje — będę nieustannie powracał w mojej twórczości. Dowodem tego może być tom moich opowiadań pt. „Miejsce urodzenia”, który ukazał się nakładem PIW w 1953 r. — Warszawa, miasto mojej młodości i walki, jest nie tylko tematem opowiadań, lecz i ich bohaterem. Przeżyłem bowiem rzecz tak wspaniałą i niełatwą do wyobrażenia sobie, jak odrodzenie miasta, piękniejszego niż było, któremu oddaliśmy tak wiele siły i pracy. Ale zarazem odczuwam pewne zawstyżenie, że jako pisarz, dałem mu tak niewiele. Czy spłacać ten dług? Przywiązujemy się do miejsc, w których nam jest do-



Koniec kłopotów! Dajemy sobie radę bez pompy! Oto dociepne urządzenie, które można zastosować do każdego samochodu. Zamiast pierwszej świecy — wkłada się odpowiedni wentyl, zawierający specjalny filtr. Pracujący na wolnym biegu motor tłoczy powietrze do detek. Wilgoć, resztki smarów i benzyny zostają zatrzymane przez urządzenie filtrujące.

(Ciąg dalszy na str. 3)

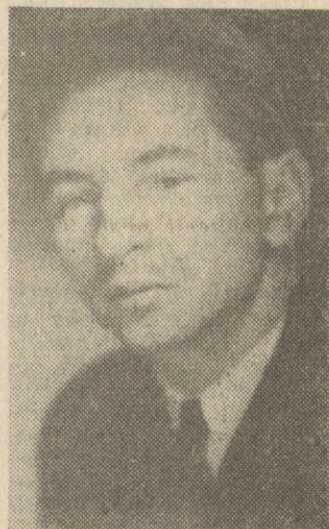
WITOLD WANDURSKI, poeta proletariacki o bujnej wyobraźni, dużej subtelności poetyckiego kolorytu, odznacza się samodzielną postawą twórczą. Wydaje zbiór wierszy „Sadze i złoto” (1926 r.), dramat „Śmierć na gruszy”, wystawiony w 1925 r. oraz szopkę satyryczną pt. „Gra o Herodzie” — 1926 r. Jest również tłumaczem i wydawcą „Nowej sceny robotniczej”, w której propaguje i udostępnia proletariacki sztukę robotniczą o tendencjach antywojennych.

W 1928 roku kandyduje do Sejmu z listy „Jedności Robotniczo-Chłopskiej” w Łodzi. Ta znana lista nr 13 została w Łodzi unieważniona. Na tydzień przed wyborami, 26.II. 1928 r., zostaje na ulicy w Łodzi bezpodstawnie aresztowany i w konsekwencji przetrzymywany. Wandurski był już od dłuższego czasu solą w oku policji, jako organizator życia kulturalnego robotników oraz twórcą i organizator stowarzyszenia teatralnego robotników łódzkiej „Sceny Robotniczej”. Stowarzyszenie to zostało przez policję rozgromione, a u Wandurskiego przeprowadzono rewizję nie aresztując go wówczas. Znani literaci polscy wystąpili do prokuratora Sądu Apelacyjnego w Warszawie z następującym listem:

„Kolega nasz, literat Witold Wandurski, od sześciu z górą tygodni przebywa w areszcie prewencyjnym w Łodzi. Jak słychać, jedynym powodem przetrzymywania pisarza polskiego w więzieniu jest fakt, że Witold Wandurski występował w czasie wyborów w Łodzi jako pełnomocnik listy nr 13, za którą głosowała Generalna Komisja Wyborcza. Wszystkie usiłowania do zmiany środka prewencyjnego, wypuszczenia Wandurskiego na wolność za złożeniem kaucji, okazały się bezskuteczne. Wobec tego niżej podpisani literaci i koledzy Wandurskiego odwołują się do Pana Prokuratora Sądu Apelacyjnego, aby raczył łaskawie zainteresować się okolicznościami, w jakich nastąpiło aresztowanie Wandurskiego, przetrzymanie go na ulicy i aby autorytetem swego stanowiska przyczynił się do przywrócenia mu wolności.”

Juliusz Kaden-Bandrowski, Wacław Berent, Piotr Chojnowski, Maria Dąbrowska, Zdzisław Dębicki, Artur Górski, Karol Irzykowski, Antoni Lange, Kornel Makuszyński, Zofia Nałkowska, Leopold Staff, Andrzej Strug, M. J. Wielopolska, Stanisław Baliński, Witold Horzycza, Jarosław Iwaszkiewicz, Jan Lechoń, Antoni Słonimski, Julian Tuwim, Kazimierz Wierzyński, Józef Wittlin.

List ten, jak i późniejsze interwencje, pozostał bez skutku.



Lesław Bartelski

— O ile nam wiadomo, zadebiutował Pan w poezji...

— Tak, byłem poetą. Myślałem, że jestem nim nadal, albowiem poezja w twórczości pisarza niekoniecznie wyraża się pisaniami wierszy. Nasi świetni prozaicy, żeby przykładowo wymienić Adolfa Rudnickiego, niosą w swej prozie potężny ładunek poezji. Nie sztywne formy decydują o tym, granice gatunków są w swej istocie nikłe, decyduje sposób ujęcia zagadnienia. Ileż opowiadań Bogdana Chęszki z tomu „Krzywe koralowe” wskazuje na pióro liryka!

Zacznę pisać w latach, które wymagały wielkiego napięcia uczuciowego, kształtującą poetycką wizję w latach, kiedy słowo stawało się czynem, odpowiedzialność zaś za nie urabiała charakter. Poezja była wtedy równie ważnym elementem walki jak broń i płaciło się za nią życiem. Za prawdziwą poezję zawsze zresztą płaci się życiem. Pod gruzami zburzonej Warszawy zostało wielu moich przyjaciół i kolegów, z którymi rozpoczynałem poetycką drogę. Ich śmierć przeżywałem jak dotkliwy cios godzący we mnie. Czulem się uboższy o młodość — wracając po powstaniu do miasta, najblizszych. Nie mogłem sobie znaleźć miejsca. Jeździłem po kraju w chłodną wiosnę 1945 roku i zdawało mi się, że może napotkam tych, którzy odeszli. Wiedziałem, że się ludźmi, lecz jakże często trudno walczyć ze złudzeniami. Tadeusz Gajcy, Zdzisław Stroiński (Chmura), Krzysztof Baczyński, Andrzej Trzebiński (Łomien), Wojciech Menzel (Janowicz), przyjaciele mej poetyckiej młodości po-

Dyskusja o bolesnych sprawach kultury w Poznaniu wyszła wreszcie z kręgu rozmów gabinetowych, plotek i niedomówień na forum opinii społecznej. Rośnie nadzieja wśród ludzi, którym bez ostentacji i frazesów sprawy te leżą na sercu. Fala ożywienia i szczerości podchodzi wysoka, błędom (a narobiono przez te lata bigosu) odejmujemy usypiające właściwości mitów. Rzecz idzie, by ta ofensywa po trafiła przerwać mieszczańskie działanie różnej maści. Oduroczyć bowiem to miasto — znaczy wyjąć hamulce inicjatyw z rąk Wojewódzkiego i Miejskiego Wydziału Kultury, znaczy namówić czynników do odwagi, trudu samodzielnego myślenia i działania. Jest szansa, że Poznań przestanie być punktem wstydlwym na mapie kulturalnej kraju, ziemią niczyją, o której rozsądni mówią po Polsce: „To straszne, ludzie, coście przez te kilka lat zrobili z tym miastem“.

To są ogólniki, wywalanie dawno otwartych drzwi. Wiem, że na podsumowanie wstępnych bojów długo jeszcze nie pora. Obecnie kulturalnej „pierestriki“ nie wolno podsumowywać. Największą krzywdę swobodnej wymianie myśli czynią zakreślające linie i ci, co wszystko zawsze wiedzą najlepiej — ale na końcu.

Wyjdźmy jednak z kręgu słusznych zresztą obwinień, przedstawmy program pozytywny, niechby program minimum. Przedstawmy bez względu na to, czy przyzajeń (jak dotąd) obrońcy „ancien regime“ rzucać nam będą kłody pod nogi i czy wydumają pozał się Boże, teoretyczne uzasadnienie mętnej wody, która zalewała naszą aktywność przez lata. (Np: typowa dla tych „obrońców“ formuła rozumowania myląca instytucje poddane kulturze — opera, teatr itd. — z istotą rozwoju życia kulturalnego. Niby pod takt piosenki biurokraty pt. „Mój świat — to moja instytucja“).

Program pozytywny — jaki? Który klawisz nacisnąć, aby uruchomić symfonię możliwości? Padło już takie po-

jęcie w dotychczasowej wymianie zdań. Czerwoną nicią przewinęło się przez bodaj wszystkie wypowiedzi publiczniczne. Problem o oczywistości bezdyskusyjnej. Pismo! Tak, pismo społeczno-kulturalne, wydawane na miejscu, obsługujące potrzeby regionu, zasięgiem kolportażu obejmujące kraj.

Przepraszam — czy i jakie mamy możliwości do nawiązania inicjatywy sprzed roku?

Możliwości czyli zaplecze. Siedziałem w zespole białych młodzieńców powołujących do życia inicjatywę „Nurtu“. Prze prowadzono wtedy obliczenia oparte na konkretnych badaniach terenu; poszczególnie PRN-y naszego województwa wyznaczały nawet swoich korespondentów. Idzie jednak przede wszystkim o samo miasto. O bazę zasadniczą ze 100-procentową operatywnością. Jako miejsce nauki, muzyki, literatury, dziennikarstwa, pla styki i teatru Poznań liczy ok. 100—120 piór (taki stan był przynajmniej przed rokiem), mogących zasilać periodyk materiałem pisanim. Dużo to czy mało? W każdym razie prawie trzykroć więcej niż w Szczecinie, którego beniaminek „Ziemia i Morze“ ukazuje się w maju br. Do jednego poznańskiego numeru, w zależności od objętości, wej dzie zaledwie 1/4 do 1/6 tej liczby. Jako drugi rzut wsparcia pozostają ośrodki krajowe i wzrost publicystów własnego chowu. Pismo bowiem działa na talenty jak inkubator.

Trudności zaczynają się o krok dalej. Inicjatywa. Kto ma dać hasło do boju, kto weźmie na barki ciężar niełatwych prac organizacyjnych, spręczenie koncepcji, sporządzenie makiet pierwszego numeru? Kto zamówi u autorów i zbierze napisany materiał, będzie się bił o papier i pieniądze, stoczy zwycięską kampanię z przeciwnym przemysłem poligraficznym, zanurzy się po szyję w magię spraw redakcyjno-technicznych i w nagrodę pierwszy dostąpi radości oglądania nowonarodzonego czasopisma?

Rozdzielmy te funkcje według kompetencji. Okres partyzantki i chałupnictwa znikł bezpowrotnie. Świeże powietrze wpuścić przez okna otwarte XX Zjazdem sprzyja atmosferze jawności. Wierzyć musi inicjatywa. Inicjatywa w nieobowiązującym wariantcie: „Róbcie, towarzysze, my pomożemy“. Osobiście od roku przestałem wierzyć w podobne furtki dla ujęcia nadmiaru energii. Chodzi zatem o jakąś gwarancję polityczno-moralnej odpowiedzialności za sukces działania i zapewnienie środków realizacji. Jakich środków? Wymieniam szybko: pieniądze (od pierwszej chwili na koncie), papier (od pierwszej chwili w magazynie), drukarnia (od pierwszej chwili dysponująca ruchomym terminem dla wykonania określonych prac dodatkowych). Zastrzeżenie „od pierwszej chwili“ jest niesłychanie istotne. W nawale zajęć i przy gorących staraniach o utrzymanie terminów — wszelkie czynności bezterminowe są koncesją na rzecz niechlujstwa — nie wolno więc tracić czasu ani energii dla walki z urzędnikami o uzyskanie spraw tak oczywistych jak wymienione.

Krok dalszy — to zespół ludzi rzutkich i choć trochę doświadczonych, na czym dowieć polega. Oni podejmą się wyko-

nania pozostałej części pracy — trzeba ich jednak opłacić, rzecz naturalna. Czas doprawdy zaniechać polowań z nagonką na frajerów w 11-tym roku Polski Ludowej. I tutaj znów po zasięgnięciu opinii zainteresowanych związków czy tp. i po rozmowach wstępnych winien powstać tymczasowy komitet redagujący. Nie liczny, 5—6 osobowy najwyżej, godny zaufania.

Otwarta pozostaje sprawa wydawcy (na razie mniej istotna) i periodyzacji. Na początek głosuję za jednodniówką, ukazującą się np. co miesiąc, aby w ten sposób podobnie, jak „Kronika“ łódzka, po pół roku wydawania wciśnąć się w budżet państwowy. Pesymiści w tym miejscu zakrzykną: „A kto ma finansować skądinąd słuszną i potrzebną imprezę?“ (Znowu zważcie na typ argumentacji: sprawa arcyprzebiegna, tylko nie ma tego, kto by pomógł). Odpowiem po prostu: mało to grozi dziennie rzuca się w błoto? Z jakim nakładem kosztów oszczędzić nasze miasto różnymi gablotami,

których nikt nie ogląda? Budżety terenowe wobec postępującej decentralizacji mogą rozsuplać skąpieckim, inaczej ogóle szkoda gadania. Z czasem zresztą nastąpi częściowa przynajmniej opłacalność. Ale pismo, to nie dojna krowa, zdolna wyżywić tuziny cieląt.

To jest zarys działania, nie bez usterek, rzecz jasna, ale w miarę konkretny. Podsunęty doświadczeniem zdobytym przed rokiem i orientacją możliwości terenu. Jest to głos dyskusyjny w sprawach kultury i pytanie pod adresem nas wszystkich od góry do dołu, co przedsięwziąć, aby wprowadzić z głębokiego impasu stan spraw, o które coraz natarczywiej woła cały kulturalny Poznań. Czy? Tak, tak, właśnie — cały. Proszę sprawdzić rozpisywane ankietę. I proszę pamiętać, że petycje, podania i pisma rewolucyjne nie robią, trzeba wreszcie zacząć myśleć i działać. I bez spokojnej i sensownej analizy tych spraw — z miejsca, rzecz jasna, nie ruszymy. Może nasz Czynnik Decydujący, przychylny głosom opinii publicznej, zechce nam pomóc w tych kwestiach...

GŁOS POETY - PROZA*)

Julian Rynowiecki

Pisanie o sprawach kultury regionu w powiązaniu z tymi, którzy tę kulturę tworzą (pisarze m. in.) jest już pewnego rodzaju postępowaniem, w porównaniu z okresem poprzednim, kiedy to mówiło się i pisało o współczesnej kulturze Poznania jak o kulturze zamierzchłych cywilizacji, egipskiej czy babilońskiej. Wtedy była „kultura“ na formularzu sprawozdawczym i w „zadaniach“, jakie stawiały sobie organizacje. Teraz zaczyna przez to przeziierać twarz człowieka. Nie chodzi o to, czy są to twarze znanych pisarzy czy początkujących poetów, satyryków i prozaików. Chodzi o wniosek. Historia wskazuje, że o kulturze każdego wieku świadczyć nazwiska jej twórców, a nie protokoły z posiedzeń komisji od kultury. Dbając o kulturę należy dbać o ludzi, którzy ją tworzą.

Głosy w prasie poznańskiej wskazują, że przestajemy te sprawy traktować bezimiennie. Piszemy, krytykujemy, bijemy w głowę ludzi, twórców i tych, którzy zaczynają tworzyć. Ale pisanie to nie wystarczy. I jest spóźnione. Pisanie to nie „namnoży“ twórców, którzy w okresie stagnacji wyemigrowali i zostali odsunięci od spraw kultury Poznania.

Dziwi mnie, że od pewnego czasu w prasie tak często znajduję m. in. i swoje nazwisko. Co to znaczy? Teraz nagle przypomniało sobie o początkującym, być może „obiecującym“ poecie poznańskim? Teraz, kiedy z Poznaniem łączy go tylko wątni nie marzenia i wspomnień z przeszłości? Kiedy nie mogę w Poznaniu znaleźć dla siebie pola działania usunąć się w zacisze wiejskiej pustelni ze złoźnym zamiarem gwizdania na wszystkie „kultury“ papierowe i zurzędniczące? Teraz puka się do jego pustelni i mówi: chodź, piszesz, tworzysz, mieszkałeś kiedyś w Poznaniu, jesteś więc nasz, tworzysz naszą kulturę.

Jeżeli ludzi, którzy mogliby przyczynić się do ożywienia kulturalnego regionu (dodać choćby przysłowiową cegielkę)

spycha się na peryferie i zamiat szpalt gazet i radiowych mikrofonów daje się im do dyspozycji chiopska podwode, by jeździł po wsiach z kinem, a ich miejsce zajmują nadęci „kulturalnicy“ spod znaku mieszczańskiego snoba i filistra biurowego... Trudno, wówczas nie sprzyja się tworzeniu kultury, lecz jakiejś narośli koltuńsko-zaściankowej o mocy głosu jednej żaby w zastalym bajorku.

Gdyby Klemens Janicki nie opuścił nigdy Żnina (a uczynił to tylko dzięki pomocy „mecenasa“), kto wie, czy chwilibyśmy się jego laureami padawskimi czy smutną elegią. Młodemu współczesnemu poecie poznańskiemu wypada odłożyć pióro a ująć batutę wiejskiego świetlicowego. No cóż, kiedy koniecznie chce się uczestniczyć w tworzeniu wartości kulturalnych a inaczej nie można — dobre i to. Niech pozostanie choćby ta „gadka wśród gminu“ i słowa w skali powiatu. Skończyły się czasy trubadurów czy dworskich natchnionych poetów. Dzisiejszy artysta słowa inaczej zdobywa ostrogi, inaczej „śpiewa“ ludziom. Dziś ma do dyspozycji prasę, radio, wydawnictwa. Szkoda, że te instytucje nie są szerokimi gościńcami włoskich i francuskich prowincji.

Jeżeli te trybuny dzisiejszego twórcy słowa są zajęte przez impotentów twórczych, krzykaczy „od akcji do akcji“, to „pieśń“ nie powstanie, a jak powstanie to „sobie a muzom“ w zaciszu wiejskiej czy miejskiej pustelni. Może mamy czekać na potomnych? Może po naszej śmierci dopiero pozwolą nam dojść do słowa, kiedy na szpaltach pism ukaza się nekrologi: „Zmarł obiecujący poeta pozostawiający bogactwo piosenek literackich“. Nie, do tego nie dojdzie. Zaczynamy dziś mówić o „pieszczochach“ niedopieczonych, zaczyna my nawoływać do działania. Może wzruszy się stojąca woda...

Jednak nad przyjemność obserwowania, jak w prasie deklinuje się moje nazwisko, przekładam możliwość konkretnego czynienia. Kiedy tę możliwość posiadają ci, którzy chcą a nie mogą, nie możemy mówić o tworzeniu kultury regionu. Przystojniej jest wówczas powiedzieć, że Poznań to nie ośrodek kultury (w sensie aktywnego tworzenia) lecz wielki harem, w którym gromady eunuchów asystują pięknym muzom. A ponieważ muzy są powabne a eunuchowie także posiadają zmysł wzroku i dotyku, więc o ich wdziałkach rozprawiają zapamiętałe, nie mogąc jednak nic więcej poza tym wykrzesać.

Pięknie, gratuluję Poznaniowi i jego kulturze a jako wniosek racjonalizatorski proponuję zmianę godła tego miasta na podobiznę strzelistej fontanny (Bachczyseraju).

Julian RYNOWIECKI
Kiskowo, pow. Gniezno

*) Odpowiedź na artykuł „Nas niedopieczeni“.



Ten pan w nieco dziwnym stroju, to „Jego Majestat“ książę Monaco Rainier III — łowiacy ryby w głębinach Morza Śródziemnego. Pochodzi on z dynastii o nie byle jakiej tradycji. Wywodzi się bowiem z rodu korsarzy noszących już w czasie Renesansu nazwisko Grimaldich, z których jeden dał początek panującemu w księstwie Monaco rodowi Monegasków. Jeśli chodzi o tak zwaną „błękitną krew“, fachowcy od tych spraw mają poważne wątpliwości, czy aby na pewno przodkowie księcia Rainiera III rozmnażali się w sposób dynastycznie prawidłowy. Mezalianów bowiem popełniali bardzo wiele. Na przykład babka księcia Monaco była z zawodu zwykłą praczką, podobno zresztą niezmiernie piękną. Jej córka wyszła za mąż za hrabiego de Polignac, stając się matką Rainiera III. Hrabina de Polignac nie wytrzymała jednak długo ze swym mężem i uciekła ze starożytnego zamku, przekładając miłość do nadwornego lekarza — nad arystokratyczne zaszczyty. Obecnie panujący nad księstwem Monaco popełnił również mezalian, tym razem przynajmniej finansowo korzystny. Piękna aktorka amerykańska, Grace Kelly (po prawej), daje wszelkie nadzieje kontynuowania rodu Monegasków, a przede wszystkim — pozwoli Rainierowi III uratować nadwężone mocno finanse swego operetkowego państwa. Słub przedstawionej na fotografii pary małżeńskiej odbył się kilka dni temu. Ku zmartwieniu właściciela stoczni i wielu cegielni — ojca pięknej Grace — milionera Kelly'ego, angielska rodzina królewska nie wzięła udziału w uroczystościach weselnych.

Julian Stawiński

Ciekawostki znad Atlantyki

POPIOŁY MĘŻA I WŁADZIO VAN BEETHOVEN

W jednym z najwytworniejszych hollywoodzkich pałaców gość hotelowy otrzymał karteczkę: „Proszę do południa nie używać łazienki, zakłóca pan spokój największej aktorki świata“. Anna Magnani, świetna aktorka włoska, ku oburzeniu tzw. rdzennych Amerykanów, zawojowała dziś rzeczywistość Stany Zjednoczone. W Europie zawładnęła sławę filmowi „Rzym — miasto otwarte“. Ale amerykańskie zasady reklamy wymagały czego innego. Więc Magnani, zaszczepiwszy coś niecoś o sposobach starej paryskiej bohemy, użyła kilku prostych bardzo chwytów dla epatowania spragnionych oryginalności mieszcuchów Nowego Świata. Wywiałów udziela w łóżku, pali cygara, chodzi rozczochrana, wyrzuca z pokoju odbiorcę telewizyjny i, zamiast tego, kazała wystawić fortepian. Szlagiorem, który stworzył Annie Magnani wrota Ameryki, była główna rola w filmowej przeróbce słynnej sztuki Tennessee Williamsa, „The Rose Tattoo“ („Tatuowana Róża“). Młoda wdowa po przemytniku, Serafina delle Rose, żyje wyłącznie w zaccarowanym kręgu wspomnień po mężu. Jego popioły przechowuje w wazie, której nigdy nie traci z oczu, a po nocy śni się jej ciało nieboszczyka. Z opętania wyrwy ją „nieznajomy“, który tak samo, jak zmarły przemytnik, prowadzi ciężarówkę, a co więcej, na smagłej pierś ma, podobnie jak tamten — wytatuowaną szkarłatną różę. Ułatwia sprawę i ostatecznie przesadza o rozwianiu się zagrobowych czarów rewelacja, że mąż-wampir za życia miał utrzymankę.

Opętanie i wszelkie w ogóle formy obłędu — narkomanii czy nerwicy, nadal zapełniają ekrany i sceny za Atlantykiem. Do gwiazd sezonu należy „Ulewa“ („A Hatful of Rain“). Wy-

mieniać trzeba tę sztukę nie dla artystycznych walorów — choć jest świetnie grana — ale ze względu na jej typowość. Młody żołnierz — Johnny Pope — ciężko ranny przebywa długo w szpitalu i popada w nałóg morfiny. Walczy z nim, opanowuje nawet, ale pod wpływem przeżyć osobistych znowu sięga po szprycę i to w czasie, gdy żona spodziewa się dziecka. — Johnny ukrywa nałóg przed żoną; w czym dopomaga mu brat, udzielając przy tym pożyczek. Żona nie wie, jak wytłumaczyć sobie dziwne zachowanie męża. Posądza go o zdradę. W końcu kocha się brat Johnniego. Rolę fatum grają handlarze narkotyków. Tak narasta zawily splot melodramatu aż do tragicznego finału. Mniejsza zresztą o szczegóły akcji. Symptomatyczne jest stałe wracanie do tego rodzaju tematyki. Teatr czyni tu zadość gustom publiczności. W pierwszej chwili takie „niezdrowe“ upodobania mogą dziwić, zwłaszcza gdy wiemy, że widownię w olbrzymiej większości zapełnia drobnomieszczaństwo. Cóż, drobniomieszczańcin amerykański odrabia zaniedbaną lekturę — odczytuje: Goethego, Byrona i dekadentów francuskich. I nie to nie znaczy, że czyta ich w wersji przykrojonej do jego pojęć. Clerpienia jego są szczere. Przez żywa własny ból świata i własne „taedium vitae“ (własną nudę życia).

Na marginesie dodajmy, że rolę żony w „Ulewie“ odtworza znakomicie aktorka filmowa — Shelley Winters. Z filmu na scenę — to jakby odwrótność biegu rzeczy w Europie.

Na zakończenie słówko o Władziu. Valentino Władziu (jak wymawiają Amerykanie) Liberace jest dziś bezspornym bóżyszczem Manhattanu, rozślawionym przez nocne kluby i telewizję. Szczególnie gorącym kultem darzą go kobiety.

Nazywa się naprawdę Władysław Liberak, ale przybrał sobie za imię nazwisko słynnego przed laty Rudolfa Valentino, o którym po dzień dzisiejszy krąży legenda. Władziu uważa, że jest do niego podobny, choć góruje nad poprzednikiem urodą. Nie zabierając głosu w tej sprawie stwierdzamy, że na pewno góruje kabotyństwem zupełnie fantastycznym.

Nowy Valentino wystąpił obecnie w filmie pod intrygującym tytułem „Szczere oddanie“. Gra w nim bohater, który jest połączeniem Beethove- na, Szopena i Paderewskiego. Genialny pianista — rzecz dzieje się współcześnie — staje u szczytu sławy, gdy nagle zachodzi na głuchną. Jest bliski samobójstwa. Lecz zakochana w nim sekretarka przypomina, że Beethoven, mimo głuchoty, komponował wspaniałe utwory. A przecież genialny pianista jest także kompozytorem i to nie byle jakim. Na dowód nuci ułożoną przezeń piosenkę „Szczere oddanie“. (Autorem piosenki jest sam Władziu. Zapomnieliśmy bowiem dodać, że jego kariera zaczęła się od grania sentymentalnych tanich melodijek w nocnych klubach Nowego Jorku). Geniusz stosuje się do rad sekretarki, występuje, z własnym koncertem w Carnegie Hall, publiczność szaleje, chwytając go na ramiona, w pewnej chwili artysta pada — i odzyskuje słuch.

Film jest ponoć największym sukcesem kasowym ostatnich lat dziesięciu. Zjawisko jest o tyle ciekawe, że w społeczeństwie Stanów Zjednoczonych coraz większy odłam, zwłaszcza wśród młodzieży, pragnie znaleźć odpowiedź na tzw. zagadki bytu. Ale jak widzimy, Amerykanie szukają nie tylko rzeczy ostatecznych. Szukają także i zwykłej rozrywki.



Oto widzimy już „młodą parę“ po ślubie. Grace Kelly i Rainier III na przejażdżce samochodem. Fot. — CAF

Tę wojnę warto poprzeć

Zdziwiał się zapewne Czytelnicy, skąd na naszych łamach takie wojownicze wezwania. Nasza wojowniczość dotyczy wroga, który nie liczy się ani z prawem międzynarodowym, ani nie przestrzega przepisów granicznych. Przeciwnemu wrogowi potrzebna jest powszechna, międzynarodowa mobilizacja.

Wróg operuje zasadniczo z powietrza. Nie posiada wprawdzie broni atomowej, lecz potrafi szerzyć olbrzymie spustoszenie wśród ludności. Potrafi wkraść się do ludzkich mieszkań i szerzyć śmierć wśród niczego nie spodziewających się ofiar. Nie pyta nawet o narodowość lub przynależność państwową. Każdy człowiek na kuli ziemskiej jest narażony na atak. Dlatego obrona ludzkości może być tym lepsza, im bardziej umacniać się będzie w tej dziedzinie współpraca międzynarodowa.

Nie trudno chyba domyślić się, że tym wrogiem ludzkości, przeciw któremu warto przeprowadzić ogólnowiatową mobilizację, są owady — nosiciele chorób. Na pierwszy rzut oka sprawa ta wydaje się nam nienowa i dobrze znana. Nikt w końcu nie lubi insek-

tów i stara się je zwalczać wó-
kół siebie.

Morderca przy twoim stole

Pod takim tytułem ukazał się w biuletynie Międzynarodowej Organizacji Zdrowia artykuł o „Musca domestica”, czyli o zwykłej muszce, obdarzanej przez nas tak serdecznie brzmiającą nazwą muchy „domowej”. Autorką artykułu jest profesor Lidia Laface, z laboratorium parazytologii (na uki o pasożytach w przyrodzie) w Instytucie Zdrowia w Rzymie. Wiadomo nam, że muchy roznoszą zarazki, że grożą naszemu zdrowiu, że trzeba je tępić. Cóż więc nowego może powiedzieć na ten temat włoska uczona? Przede wszystkim opisuje ona szczegółowo sposób przenoszenia przez muchy zarazków i najbardziej rozpowszechnionych chorób, które szerzą się przy udziale much. Dyzenteryja, letnia biegunka (zwana „dziecięcą”), cholera, dur brzuszny, gruźlica, jaglica, paraliż dziecięcy — oto niepełna jeszcze lista chorób, ciagle przenoszonych przez muchy. W jaki sposób te „nieodstępne towarzyszyki rodzaju ludzkiego” zbierają zarazki chorób i roznoszą je wśród ludzi — o tym pouczają nas co roku afisze propagandowe i wezwania do higieny. Higiena jest jedynym sposobem zmniejszenia ilości ofiar, które rokrocznie padają na froncie tej walki.

Nauka stoi jednak przed trudniejszym zagadnieniem, jak mianowicie zwalczać rozmnażanie się much i w ten sposób zmniejszać ciagle grożące niebezpieczeństwo. W tym zakresie wiele jest jeszcze do zrobienia i dla współpracy uczonych wielu krajów pozostaje rozległe pole.

Wróg posiada skuteczną obronę

Przez jakiś czas zdawało się, że walka z chorobobójnymi owadami prowadzi do bliskiego zwycięstwa ludzkości. DDT i inne podobne preparaty pozwały na niszczenie komarów i moskitów, wśw odzieżowych i tym podobnych insektów. Lecz dziś okazuje się, że w wielu krajach DDT i inne środki straciły już siłę owadobójczą. Z blisko dwu tysięcy odmian komarów i moskitów niektóre gatunki uodporniły się na działanie stosowanych przeciw nim preparatów, co spowodowało nawrót chorób malarycznych na terenach, gdzie czasowo udało się zwalczyć ich nasilenie. Podobnie uodporniły się na działanie DDT wśw odzieżowe, co np. zaobserwowano w południowej Korei.

Wymiana informacji z międzynarodowego frontu walki przeciw skrzydlatym wrogom ma pierwszorzędne znaczenie. W ten bowiem sposób uczeni różnych krajów mogą obserwować skutki stosowanych preparatów i starać się o nowe środki.

Insekty a losy ludzkości

Brzmi to niewiarogodnie. Profesor Marston Bates z Uni-

wersytetu Michigan w USA udowadnia swe twierdzenie kilku przykładami. Nie Grecy, lecz choroby pokonały armię Kserksesa. Malaria dziesiątkowała armie Rzymu, a dżuma i inne zarazy wpływały hamując na rozwój krajów Europy w średniowieczu. Osipa była sprzymierzeńcem Hiszpanów, którzy pod wodzą Corteza walczyli przeciw obrońcom Meksyku, a powodzenie Europejczyków odwróciło się później, gdy żółta febra przekreśliła plany Napoleona III co do podboju tego kraju. Tak więc chorobobójne owady odegrały nieoczekiwaną rolę w dziejach.

Teraz inicjatywa należy do ludzi

Przez wiele wieków, zdaniem prof. Batesa, trwała „współpraca” insektów i bakterii. Celem ludzkości jest obecnie przekreślić tę „współpracę”. Międzynarodowa Organizacja Zdrowia postanowiła tegoroczny dzień zdrowia, który przypadał na 7 kwietnia, ogłosić dniem popularyzacji walki z chorobobójczymi insektami. Od muchy tse-tse, dziesiątkującej ludność Afryki, poprzez wszelkie odmiany komarów, pasożytów, aż po „domową” muchę — galeria wrogów, niebezpiecznych wrogów, jest obfita.

Współpraca międzynarodowa — to naprawdę nie tylko „wielka polityka”. Wśród wielu dziedzin tej współpracy na porządku dziennym jest również to, co łączy się z ochroną zdrowia.

Polska przez ostatnie lata nie brała czynnego udziału w pracach Międzynarodowej Organizacji Zdrowia. Przyczyną tego są w tej chwili mniej ważne. Ważne jest zaś to, aby współpraca tę podjąć na nowo — z obopólnym na pewno pożytkiem.

Argus

Jak długo się oddycha — dalej pracować

(Dokończenie ze str. 1)

stosowaniu i pięknej, obiecującej przyszłości swego rozwoju.

Wszystkim fachowcom znane jest także pojęcie „punktu Curie”. Piotr Curie odkrył, że ciała ferromagnetyczne (podlegające sw wpływowi pola magnetycznego — żelazo, ko-
balt, nikiel) tracą nagle, jeżeli ogrzać powyżej charakterystycznej dla nich temperatury (dla żelaza = 769° C, niklu = 356° C, kobaltu = 1075° C). Ten to „punkt Curie” mówi nam o walce między porządkującym wpływem magnetyzmu na cząstki ciała ferromagnetycznego, a wpływem ciepła, wprowadzającym chaos do ruchu tych cząstek.

Nie na tych zresztą dwóch tylko odkryciach zasada się zasnęła i wielkość naukowa Piotra Curie. Tak się złożyło, że już w roku 1895 przeszedł do dziedziny badań Marii Skłodowskiej, a wczesna i tragiczna jego śmierć przyczyniła się do jakby przytłumienia blasku jego imienia. Z Marią Skłodowską zapoznaliśmy się w mieszkanie profesora Kowalskiego, wykładowcy fizyki na uniwersytecie we Fryburgu szwajcarskim. Maria potrzebowała pomocy naukowej i porady w sprawach pewnych badań w zakresie magnetyzmu i profesor Kowalski zwrócił jej uwagę na doświadczenia Piotra Curie w tej dziedzinie.

Pobrali się 26 lipca 1895 roku, a w lipcu 1898 odkryty został przez nich polon — w grudniu tegoż roku rad.

Pracowali wspólnie, wkład intelektualny Piotra i jego inwencji badawczej był olbrzymi.

I wtedy świat robi naraz wielkie oczy i zaczyna czynić honory. Ale trzeba było dopie-
ro nagrody Nobla (1903) i medalu Davy'ego, udzielonych małżeństwu Curie, by uniwer-

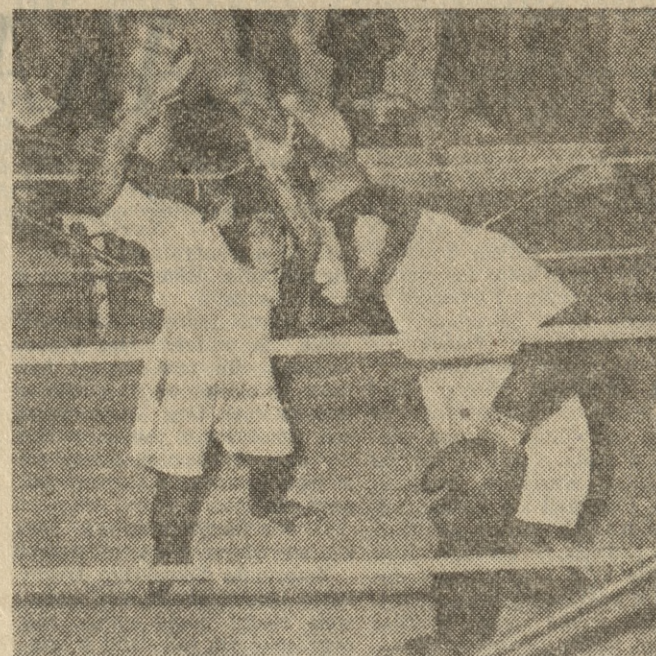


Bimbo — groźny zawodnik ze swoim sekundan-tem na chwilę przed walką. Rękawice już nałożone. Uwaga! Za chwilę zabrzmi gong...



Argus

MAŁPIE ZAWODY



Następuje skrzyżowanie rękawic i pierwsze ciosy. Bimbo od razu uzyskuje przewagę, lecz przeciwnik stawia dzielny opór.

Przerwa międzyrunda. Nasz bohater musi nabrać sił do dalszej walki. Mleko pomaga dynamicie ciosu...

Nareszcie celny hak „wyszedł”. Bimbo jest triumfotorem. K. o. w drugiej rundzie przy tak niskiej wadze („malpiej”) jest wyjątkowym sukcesem.

Rozmaitości

Moskiewska „Literaturnaja Gazeta” ogłosiła artykuł na temat filmu „Upadek Berlina”, zarzucając mu błędy konstrukcyjne, wyniki z kultu jednostki.

Na dworcu w Lyonie podczas przesiedlania o mało nie spotkały się z sobą dwie rywalki filmowe — Gina Lollobrigida i Sophia Loren: pierwsza będzie nakręcała w Paryżu film pt.: „Notre Dame de Paris”, a druga w Madrycie „Dumę i namiętność”.

Słynny badacz i podróżnik norweski Heyerdahl opuszcza w tych dniach ze swą ekspedycją Wyspy Wielkanocne; bohater Kon-Tiki zabiera ze sobą pięciu potomków dawnych pramieszkanców owych tajemniczych wysp.

Amerykanin Henry Marsh, autor niezwykle poczytnej w swoim czasie książki pt.: „Sztuka powodzenia w życiu”, zmarł w tych dniach w przytulku Armii Zbawienia w Nowym Jorku.

Czechosłowacka wystąpi w bieżącym roku po raz pierwszy w Paryżu w Międzynarodowym Festiwalu Sztuki Dramatycznej.

Francuski uczoney Fernand Navarra ogłosił w prasie hiszpańskiej, że udało mu się odnaleźć na górze Ararat szczątki Arki Noego; analiza drewnianych części wskazuje na ich pochodzenie z okresu sprzed czterech do ośmiu tysięcy lat(!).

Według oficjalnych statystyk w Niemczech zachodnich znajduje się trzy miliony kobiet więcej niżeli mężczyzn.

Premier australijski Menzies przebywający w Perth (Australia zachodnia) pośliznął się w wannie i doznał tak poważnych obrażeń, że musiano go odwieźć do kliniki.

W Moskwie rozpoczyna się wkrótce XII Kongres Kompozytorów Radzieckich; „Prawda” ogłosiła artykuł Krennikowa, wskazujący, że przezwyciężenie formalizmu w muzyce, nie dało jeszcze do tej pory zadowalających rezultatów.

Badania prowadzone od trzech lat w pustyni Kara-Korum (Azja Centralna) dały rewelacyjne wyniki; okazało się, że w epoce brązu region ten należał do najgłębiej zamieszkałych terenów w całej ówczesnej Azji.

Marszałek Harding, gubernator Cypru, niezadowolony z sukcesów armii oporu działającej na tej wyspie, wydał zarządzenie, zakazujące oficerom angielskim uprawiania polowań... podmorskich.(?)

Państwo Hemstreet z Ontario (USA) obchodzą w tych dniach 75-lecie swego pojęcia małżeńskiego; powiedzieli oni, że harmonię w małżeństwie zawdzięczają unikananiu dyskusji przed jedzeniem, nieużywaniu alkoholu (?), niepaleniu tytoniu i niesiadaniu za kierownicą samochodu.

Najstarsza kobieta w Polsce i jedna z najstarszych w Europie — Józefa Stankiewicz rozpoczęła miesiąc temu 136 roku życia, a jednocześnie minęło pół wieku od chwili, kiedy zamieszkała we wsi Miastków Stary, powiat Garwolin w województwie warszawskim.

W czasie swego życia, to jest od 1821 roku nigdy poważnie nie chorowała i nie była również lekarza. Ma ona jeszcze dobry słuch i wzrok, nie używała dotychczas okularów.

Największą jej pasją jest słuchanie radia.

Józefa Stankiewicz otoczona jest opieką państwa, otrzymuje miesięcznie 850 złotych renty.

Dr K. KAPITAŃCZYK

Rozmowa z autorem

(Ciąg dalszy ze str. 1)

— Z wyjazdów w roku 1950 i 1951, z nieobowiązujących wó-
czeg po kraju, po terenach cen-
tralnych, z przypadkowych spo-
tkań, z przygodnych rozmów
zdobyłem materiał do mojej
sztuki „Pierwsza miłość”,
która ukaże się na scenie Te-
atru Polskiego w reżyserii i in-
scenizacji Aleksandra Gassow-
skiego, z dekoracjami Romana
Feniuka. Poruszyłem w niej
sprawy — moim zdaniem —
węzłowe dla naszej prowincji,
odsuniętej od nurtu wielkiego
życia, zagubionej w swych tro-
skach raczej niż w radościach.
Bohaterami sztuki są młodzi lu-
dzie, ukazani w konflikcie po-
koleń, uwikłani w sprawy, któ-
re muszą rozstrzygnąć sami.
Sprawa obyczajowa, stanowią-
ca węzeł dramatyczny sztuki,
ukazuje przykładowo trudności
naszego życia.

— Myślę, że „Pierwsza mi-
łość” nie będzie Pańską je-
dyną pozycją w dorobku dra-
maturgicznym...

— Napisałem ją przed prze-
szło rokiem. Obecnie ukończy-
łem drugą sztukę pt. „Statek w
niebezpieczeństwie” (tytuł pro-
wizoryczny), tematem jej są
przeżycia naszych marynarzy
na Tajwanie. Daleko jednak od
biegłem od prawdziwych wyda-
rzeń, biorąc z nich zaledwie
realia i tło, dając nie reportaż
sceniczny, lecz sztukę problemo-
wą i wprowadzając do niej oso-
by, które nigdy by się nie mo-
gły znaleźć wśród załogi statku.
Chodzi mi w niej o porusze-
nie pewnych aktualnych proble-
mów, nurtujących społeczeń-
stwo — o problem odpowie-
dzialności za rzeczywistość.
Czy mi się udało, odpowiedzą
ci, którzy zobaczą ją na scenie.
Ale daleka to jeszcze droga.

— A teraz, czego oczekuje
Pan od swojej pierwszej sztuki?

— Największym przeżyciem
dla każdego piszącego jest, albo
ukazanie się książki, albo też
— jak w moim przypadku —
zobaczenie swojego utworu na
scenie. Czego oczekuję od sztuki?
Że wciąż widza w poru-
szoną przeze mnie problematy-
kę, że odpowiedziami na nią będą
dyskusje. Byłoby to dla mnie
największą satysfakcją. Niczego
więcej nie pragnę.

Rozmawiał

Cz. M.



Oto amerykański „dywan latający”. Dwa przeciwbieżne śmigła napędzane niewielkim (250 cm) motorkiem utrzymują nie-
co dziwny „samolot” w po-
wietrzu. Kieruje się nim przez
pochylenie ciała w żądanym
kierunku.

NA SZLAKACH KOMET

Gdy jak liść kołysany wiatrem powoli opadał, przyszedł mu na myśl młodzieńcze wizje z czasów, gdy studiował historię starożytnych kultów i obrzędów. Okragłe, białe korytarze, opalizujące ściany i wreszcie to kołysanie się w powietrzu, jak na niewidzialnych falach — wszystko przypominało nirwanę. Podniósł głowę. Nad nim leżało coś olbrzymiego, co mogło być tylko globem planety, a może ziemią. Ogarniał widocznie wzrokiem wszechrzecz. Przeraził się. Zatem jednak w starych wierzeniach tkwi część prawdy. Prawdopodobnie już nie żyje i jest teraz cieniem w krainie wiecznej szczęśliwości. Przed sobą widział dziwny, jakby odwrócony krajobraz z podwójną ziemią i nie-

cież myśli i czuje. A to oznacza, że śmierć nie jest unicestwieniem świadomości, jak twierdzą tamci. — Nawet śmierć udziela mu satysfakcji i kredytu zaufania. Uśmiechnął się z zadowolenia.

Po chwili jednak uświadomił sobie, że radość jest przedwczesna. Bo przecież — być może — blakający się gdzieś w pobliżu duch Dag Rossy widzi ten sam świat w innym, swoim wydaniu. I również cieszy się z tego powodu, podobnie jak on teraz.

— Nie darmo nirwana jest krainą wiecznej szczęśliwości! Zmarł Bowski trochę takie spostrzeżenie, lecz niebawem ruszył przed siebie, aby przekonać się, jak daleko wygląda wieczność.



Rys. — L. Kapczyński

Świat się podnosił do góry i literat zauważył, że w miarę podnoszenia się gruntu on sam jakby się pochylał. Szedł prawie leżąc, nieomal dotykając twarzą ziemi. Od nienaturalnego położenia poczuł ból w udach. Usiłował na gwałt wyprostować się, lecz upadł na wznak. Podniósł się i poszedł dalej. Ujrzał wówczas przed sobą olbrzymi głaz tarasujący drogę. Zadarł głowę i zrozumiał, że przeszkody tej nie ominie, wysokie, ostre szpice po bokach utrudniały obejście.

Nagle przyszło mu do głowy, że stan, w jakim się teraz znajduje, jest niewątpliwie czymś zbliżonym do snu. A we śnie nie istnieją przeszkody. Można na przykład z rozbiegu wyrzucić w tę skałę głowę, podobnie jak Miller w swoim czasie wyrzucił go w brzuch i w najgorszym wypadku człowiek się tylko obudzi. Ale nie wiadomo, czym byłoby obudzenie się w jego sytuacji? Postanowił postępować ostrożnie.

U podstawy głazu zauważył dużą szparę. Włożył w nią dłoń i naprężył wszystkie siły. Głaz drgnął, a gdy Bowski pchnął go ku górze, wymknął mu się z rąk i poszybował w przestwór. Mimo wszystkie przewidywania otworzył usta ze zdziwienia.

Gdy patrzył za oddalającym się kamieniem, nagle pociemniało mu w oczach. Ręce, które miał jeszcze wyciągnięte przed siebie, głaz i kamienie szpice, wszystko rozmazało się w czerni — znikło. Wydało mu się, że stracił wzrok.

Odwrocił się, aby spojrzeć w kierunku, gdzie przed chwilą widział słońce. Słońca wprawdzie już nie było, ale przynajmniej przekonał się, że widzi, gdyż dostrzegł jasność na horyzoncie. Po chwili zauważył, że nie stoi zwyczajnie pośrodku widnokręgu, lecz jakoś z boku na jednej z jego krawędzi.

Wiedziony ciekawością, zrobił krok i spojrział w dół. Przed nim rozciągała się przepaść, na dnie której widniało niebo i znów te niewykończone gwiazdy.

Bowskiego ogarnął wisielczy humor. Co by się stało, gdyby za przykładem muchy spróbował zejść pionowo po tej ścianie — pomyślał. — I tak przecież nic mi nie grozi.

Zrobił krok za krawędź i o dziwo, nie spadł w dół, tylko cały świat przewrócił się jakoś dookoła osi i znów niebo było na górze, a płaszczyzna, na której stał przed chwilą, wyglądała teraz na urwistą ścianę przepaści. Zaintrygowany cofnął się parę razy tam i z powrotem i za każdym razem

świat znów odwracał się i cofał.

Ziemia i niebo gra ze mną w chowanego — pomyślał, a ponieważ zrobiło mu się chłodno, ruszył w kierunku, gdzie było światło. Zauważył, że dla urozmaicenia szedł teraz pochylony w odwrotną stronę, plecami prawie dotykając ziemi. Gdy znów znalazł się przy krawędzi, położył się i spojrział w dół. W głębi przepaści świeciło słońce. Spojrzał, że znów stał się częściowo widzialny. Tym razem od góry.

Wyciągnął jedną nogę z ciemności i przerzucił ją przez horyzont. Świat zaczął się odwracać, ale zatrzymał się w pół drogi i Bowski odniósł wrażenie, że siedzi na krawędzi jakiejś olbrzymiej piramidy, której podstawa spoczywa nie na ziemi, lecz bezpośrednio na niebie. Spojrzał, że w tym dziwnym położeniu reprezentowany jest jedynie przez połowę siebie. Miał tylko jedną rękę i jedną nogę. W widzialnej połowie ciała poczuł ożywcze ciepło. Wówczas wyciągnął z nicości drugą nogę i ułokowaławszy się na rozgrzanej płaszczyźnie, jął patrzeć w głębie, z której przybył.

Dag Rossa i Watt pewnie by to wszystko jakoś wytłumaczyli sobie — pomyślał. — Według nich to anomalia, to również prawa natury.

Uśmiechnął się do siebie, wydał wargi i zmarł się, że z nikim nie może podzielić się swoim triumfem.

Podczas gdy tak myślał, wydało mu się, że na dnie przepaści, z której przybył, unoszą się jakby obłoczki błękitnawego, świecącego dymu. Obłoczki te wyciągały się ku niebu, sunęły wzdłuż krawędzi, jak ścigające się, rozwiane postacie ludzkie, nagle odrywały się od ziemi i szły w przestwór. Za nimi pojawiały się następne, kłębiły się, jakby porwane w wir dziwacznych tańca i po chwili odlatywały. Wreszcie wszystko pomieszało się, zlało, jakby przykryło się białym całunem.

— Czyżby to dusze ludzkie na jakimś sabacie, na kosmicznej Lysej Górze? — pomyślał Bowski i nagle poczuł, że się boi.

Usiłował jeszcze raz wytłumaczyć sobie, że w jego położeniu bać się nie ma czego, ale rozumowanie tym razem nie pomogło. Wszystko wyglądało zbyt już niesamowicie. Chociaż właściwie kształt obłoczków weale nie przypominał ludzi.

Spojrzał znów w przepaść, aby przekonać się ostatecznie, że to nie są ludzie i oniemiał z przerażenia. Na białej mgłę powstała z rozwianych duchów widniały czarne sylwety jakichś olbrzymich postaci. Miały one wyraźnie ręce, nogi i głowy i przypominały niewątpliwie istoty ludzkie, spełniające jakiś tajemniczy obowiązek. Zdawało się, że klęcząc czczą się po ziemi, poruszają niezdarnie zniekształconymi, pokręconymi członkami. Ręce ich raz wydłużały się, raz skracaly, jakby były wykonane z gumy. Niektóre z nich powstawały z klęzek i rosły w oczach, jak nadymane baloniki, a potem nagle rozwiewały się w nicosć lub malały do naturalnych wymiarów. W pewnej chwili wydało się Bowskiemu, że widzi nad głowami tych widm długie, spiczaste rogi.

— Czyżby to było czarce nabożeństwo? — pomyślał literat i poczuł, że włosy dęba stają mu na głowie.

Teraz już nie czuł się bezpiecznym. Strach, potworny strach opanował go całkowicie. Jeszcze raz otworzył oczy, chcąc ostatecznie się przekonać, czy to wszystko nie jest tylko grą wyobraźni i dostrzegł idące prosto ku niemu po pionowej ścianie dwie płaskie, rogate sylwety. Zdawało się, że dostrzega nawet ogony ciągnące się za nimi. Bowski krzyknął, poderwał się na nogi i nagle poczuł, że unosi się w górę.

Zauważył jak maskiary zamachały rękami w jego kierunku i ujawszy ogony w ręce, szybko wbiegły na krawędź, którą przed chwilą opuścił. W poczuciu niebezpieczeństwa Bowski chciał przyspieszyć swoją ucieczkę, lecz zdołał tylko bezładnie zamachać rękami.

Widocznie w obliczu tych stworzeń stracił moc, która pozwalała mu chodzić po pionowych ścianach, dźwigać olbrzymie głazy i znikać przed samym sobą. Bezbronny więc i przerażony patrzył w dół i widział, że prześladowcy wyraźnie przygotowywali do strzału rewolwery.

Świadomość, że mordercza technika minionych wieków została już przyswojona przez władców zaświatów, oblała literata zimnym potem. Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że balansując powoli nad głowami ścigających go widm, stanowił doskonały cel. Ciekaw był tylko czy można zabijać umarłych. Drażniło go i przerażało poza tym to, że nie mógł wpływać na szybkość swego poruszania się. Zaczął więc rzucać się i ciskać na wszystkie strony — bezskutecznie.

W pewnej chwili, gdy tak borykał się z samym sobą, spostrzegł, że obie maskiary podskokiem oderwały się od ziemi i poczęły szymbować w jego kierunku. Tymczasem Bowski nie mógł nawet zmienić swego położenia, aby móc nie patrzeć w oczy niebezpieczeństwu. Przykrył tylko powieki, gdy spostrzegł, że prześladowcy podnoszą do strzału rewolwery.

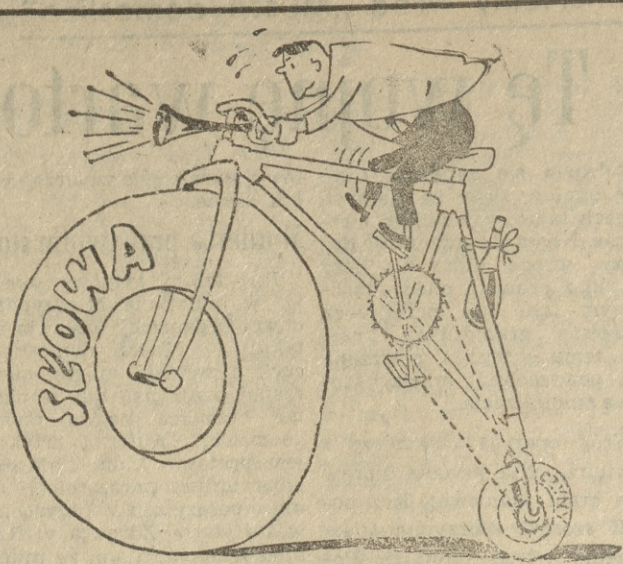
Ponieważ jednak nie słyszał ani strzałów, ani nie czuł uderzeń pocisków trafiających w jego ciało, po pewnym czasie zdecydował się otworzyć oczy. Uderzyło go, że ścigający strzelają, kierując broń nie w niego, ale wprost w przeciwnym kierunku.

(Ciąg dalszy za tydzień)



Bez podpisu

Rys. — H. Derwion



Według: Kosjurenkova „Perez” Kijów

MIK

TELEFON

— Hallo, to Lusja? Serwus. Dodzwonić się do ciebie nie można. Co nowego? Bo u mnie, ho, ho, rewelacje! Edek wrócił z parodniowej delegacji do Warszawy. Powiadają ci, sensacyjki. My tu na prowincji pojęcia nie mamy, co się tam dzieje. Edek opowiedział mi wszystko szczegółowo, bo siedział w centrali cztery dni. Wiesz, wydaje mi się, że jednak to wszystko było potrzebne. Człowiek jest tak spragniony prawdziwej wolności. Wyobraź sobie, co to będzie za rozkosz przechodzić ulicą nie w oznaczonych miejscach, ale tak jak ci się podoba. Już koniec komenderowania człowiekiem. Trzeba mieć do ludzi zaufanie, że nie wpuśćą pod auto. — Podatki będą

zlikwidowane. Zupelnie slusze. To skandal, żeby przed dziesięć lat naszego niepodległego bytu nie umiano usunąć tej smutnej pozostałości rządów sanacyjnych. — Teatry mają przejść w ręce prywatne, może wreszcie skończy się te kłiki i wzmą mnie do Polskiego. Wiesz, jak to zwykło bywało: młoda aktorka musiała nieraz wiele ofiarować kierownikowi zespołu, aby ją zaangażował. Ale teraz, sama kierowniczka jednostka nie wystarcza. Te sprawy załatwiać się będzie na płaszczyźnie kolektywnej. — Edek mówił też, że „Czytelnik” przygotował powojenne wydanie dzieł zbiorowych Heleny Mniszkówny. „Trędowata” wejdzie do literatury szkolnej na miejsce „Ojca zadumionych”. — Wiele grup literackich będzie mogło wydawać własne pisma. Powstał już miesięcznik Klubu Świadomego Marzycielstwa „Fijol”, którego programowym założeniem jest budowanie nowych podwalin pod nowe zręby nowych fundamentów. Reaktywowany został już przedwojenny tygodnik dla dorastającej młodzieży „Tajny Detektyw”. Na razie ukazuje się pod zastępczym tytułem „Dookoła Świata”. — W zeszłym tygodniu zdjęto redaktora naczelnego jednego z pism ze stanowiska za puszczanie pozytywnej wzmianki o filmie radzieckim. — A o Sokorskim słyszałaś? Nie może nigdzie znaleźć roboty. Na razie dorabia występami w kawiarni, razem z Grychtolówną. — Adam Wazyk dostał karny przydział pracy na trzy lata do redakcji „Świerszczyka”. — Sigalin, naczelny architekt Warszawy, musiał się zobowiązać, że systemem gospodarczym, tj. w godzinach pozastawowych rozbierze MDM i postawi na to miejsce kolonię domków jednorodzinnych. — I zagranicę już teraz łatwiej wyjechać. „Orbis” organizuje do krajów zachodnich dłuższe wycieczki. Na razie dla sportowców. Właśnie jeden z tenisistów wrócił z takiej wycieczki po pięciu latach. Wspaniale opalony.

— Aha, w sejmie prawdziwe awantury. Posłowie wygadują sobie wzajemnie najgorsze rzeczy. Klęca się, interpellują, zgłaszają sprzeciwy. Słyszalas coś podobnego? Ale mimo wszystko, gdzie im tam do przedwojennych posiedzeń, kiedy to rzucano petardy i bomby zapalne. Ze też my zawsze mu symy być spóźnieni. — Aha, jeśli chodzi o PKPG... Hallo, słuchasz mnie, Lusja? Hallo... Kto tam przeszkadza? Hallo!... Przerwali. A Edek mówił, że teraz jest wolność słowa, psia-krew!

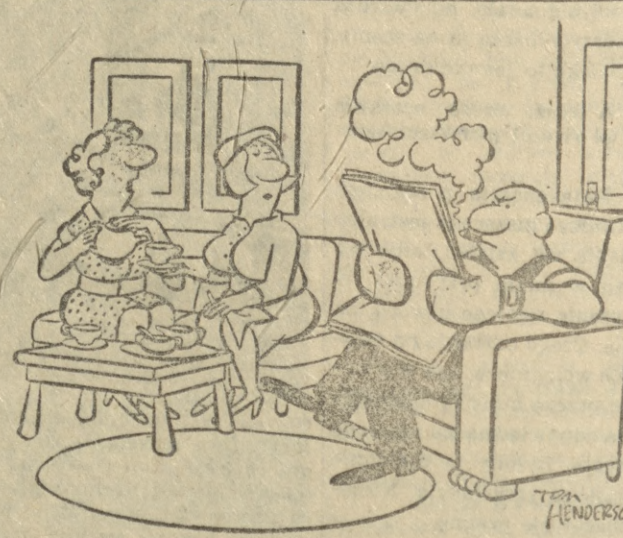


— Jest gospodyni? Zresztą widzę, że z panem mogę też załatwić moje sprawy... „Uilenspiegel” - Amsterdam



... a poza tym, to czuję się dobrze...

„Uilenspiegel” - Amsterdam



— On znów wstał dziś lewą nogą.

„Uilenspiegel” - Amsterdam